



JANUSZ SZABLICKI

**TRZECIE
STADIUM
EWOLUCJI**

JANUSZ SZABLICKI

**TRZECIE
STADIUM
EWOLUCJI**

© Copyright by
Janusz Szablicki & e-bookowo
Projekt okładki: e-bookowo

ISBN 978-83-7859-578-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2015

Spis treści

HOLOMAN	6
KŁAMSTWO	39
ANDROID	58
ŚMIECIARZE PRZESTRZENI	100
UCIECZKA	130
OLIMPIJCZYK	150
TRZECIE STADIUM EWOLUCJI	165

Od Redakcji:

Zbiór siedmiu opowiadań fantastyczno-naukowych wydany po raz pierwszy w 1980 r. przez Wydawnictwo „Śląsk” Obecnie prezentowana elektroniczna wersja została poddana przez autora niewielkiej autokorekcie.

W opowiadaniach spotykamy się między innymi z uwięzionym sukcesem naukowym eksperymentem mającym na celu stworzenie repliki istoty ludzkiej, a także z raczej mało sympatyczną wizją przeludnionego świata i wynikającymi z tego faktu dla ludzkiego rodzaju nieoczekiwanymi konsekwencjami.

W opowiadaniu „Śmieciarze Przestrzeni” dwaj przedstawiciele tego szacownego zawodu w trakcie dokonywania programowej utylizacji resztek najrozmaitszej aparatury wynoszonej niegdyś beztrąsko na najrozmaitsze orbity w epoce pionierskiego zagospodarowywania wokółziemskiej przestrzeni natrafiają niespodziewanie na zainstalowaną tam w czasie walk na ideologicznym podłożu sprawną wyrzutnię nuklearną nadal stanowiącą śmiertelne zagrożenie dla ziemskiej społeczności.

HOLOMAN

Mozolnie gramoliłem się z ciężkiego, jakby oślizgłego snu. Wokół mnie to się związała, to znów w dalekim od równomierności rytmie rozwijała dygotliwa, niemożliwa do przeniknięcia czern. Niczym dokuczliwy kolec tkwiło we mnie nie wiadomo skąd się biorące przekonanie, że ukrywa się w niej coś nieprzyjaznego, czyhającego na moment najbardziej stosowny do wyrządzenia mi jakiejś bliżej niesprecyzowanej krzywdy. Przez cały ten czas miałem dziwaczne, raczej nie zaliczające się do kategorii najprzyjemniejszych wrażenie, że całe me ciało, od stóp aż po same koniuszki włosów, pulsuje w rytm pracy jakiejś potężnej acz nie wolnej od technicznych usterek, raz po raz zachłystującej się pompy, to wtlaczającej w me tkanki jakąś bliżej nieokreśloną materię, zagęszczającą ją do wprost niewyobrażalnych wartości, to zaś wytwarzającej w nich próżnię niezmiernie bliską ideału. Jednocześnie w uszy moje wpadały najrozmaitsze, rodzące się jakby w od-dali, poza jakąś nie nazbyt szczelną przegrodą, dźwięki – coś na kształt głuchych, gardłowych postękiwań, monotonnych, absolutnie z niczym mi się nie kojarzących szelestów, a także wysokie, ostre trele szkła, zupełnie jakby ktoś gdzieś nie nazbyt ode mnie daleko zabawiał się infantylnie otwieraniem

i zatrząskiwaniem lufcika, w którym wyschnięty na wiór kit tylko jakimś cudem podtrzymywał szyby.

Gdyby mnie ktoś o to spytał, w żaden sposób nie potrafiłbym określić, jak długo to wszystko trwało – czas był wówczas dla mnie tylko pustym, nic nie znaczącym słowem. Po prostu trwałem sobie w pozycji horyzontalnej cichutko, grzeczniutko, bez drgnięcia jednego mięśnia, utrzymując kontakt z otaczającym mnie niepojętym światem li tylko za pośrednictwem zmysłu słuchu i niezmiernie słabutkiego oddechu.

Głowy bym za to nie dał, lecz zdaje się, że owym bodźcem, który ostatecznie wytrącił mnie z tej swoistej katalepsji, był głód. Wtenczas mi naturalnie ani przez myśl nie przeszło, że tu faktycznie może chodzić o to. Po prostu w pewnym momencie zaczęły mi się boleśnie skręcać kiszki, a z wnętrza trzewi dobyło się żałosne, dosyć skutecznie wyciszające wszelkie inne odgłosy burczenie.

Otworzyłem oczy. A może już wcześniej miałem je rozwarłe, teraz dopiero zdając sobie z tego sprawę? Tak czy owak, w niczym nie zmieniło to mej sytuacji, nadal było bowiem ciemno choć oko wykol. Myśli rozsypywały mi się niczym najprawdziwsze plewy na porywistym wietrze. Wreszcie niemal nadludzkim wysiłkiem udało mi się jednak ująć je jakoś w rzyzy i zacząłem się mozolnie zastanawiać nad swoim położeniem. Czyżby ów koszmar, który dopiero co dane mi było przeżyć, był jedynie snem? No cóż, tego nie można było wykluczyć. Tylko, do cholery, co mnie wobec tego właściwie przebudziło?!

Na oślepie wyciągnąłem rękę do szafki, chcąc zapalić nocną lampkę i zorientować się, która to już jest godzina. Lecz tam, gdzie się ona winna znajdować, natrafiłem na pustkę. Co u diabła? Opadła mi bezwładnie ręka. I wtedy pod dłonią wyczułem metal. Ściśle mówiąc, metalową ramę łóżka. Lecz przecież u mnie w mieszkaniu nigdy nie było żadnego łóżka, zawsze przedkładałem bowiem nad nie pozostawiające w pomieszczeniach o wiele więcej swobodnej przestrzeni wersalki! Więc gdzie ja właściwie w takim razie jestem?!

Jakiś czas leżałem bez ruchu, z ledwie tłącym się oddechem, jakoś nie mogąc się na nic zdecydować; wreszcie jednak postanowiłem podjąć próbę spenetrowania miejsca mego pobytu choćby po omacku. Poruszyłem się, próbując się wywindować przy pomocy łokci do pozycji siedzącej, lecz wówczas skronie prześwidrował mi tak potworny ból, że nie zdoławszy zdławić w krtani chrapliwego jęku pacnąłem potylicą o poduszkę.

Minęło ładnych parę sekund, nim zaciekłość fachowo rozwalających mi czaszkę pneumatycznych młotów poczęła zacichać. Z niemalym wysiłkiem rozchyliłem powieki. I w tym właśnie momencie czern nagle przemieniła się w morze jaskrawego, agresywnego światła. Źrenice zabolowały, jakby wbito mi w nie dla jakiegoś okrutnego żartu tysiące szpileczek.

– Nie... śpisz? – dobiegł skądś jakiś nierealny, pełen wahań półszept.

Z najwyższą ostrożnością znowu otworzyłem oczy. U drzwi, ustawiony tak jakoś bokiem do mnie, jak gdyby jeszcze nie był do końca zdecydowany, w którą za chwilę po-

wędruje stronę, stał Ray. Jego prawica uniesiona była w geście kaznodziei sposobiącego się akurat do pobłogosławienia wiernej trzódki. Upłynęło dobre kilka sekund, nim pojąłem, że gest ów oznacza jedynie zdjęcie palca z przycisku świetlnego.

– Gdzie... jestem? – wymamrotałem. – I co się tutaj... właściwie dzieje!?

Ray stał jeszcze parę chwil z tą uniesioną ręką, zupełnie jakby mu ją ktoś nie wiadomo po co przywiązał niewidocznym sznurkiem do sufitu; w końcu postąpił w moją stronę.

– Uspokój się, już wszystko jest w należyтым porządku! – powiedział szybko takim tonem, jak gdyby pragnął o tym przekonać przede wszystkim siebie.

Krew nadal tętniła mi w skroniach mocnym, przyspieszonym rytmem, język tkwił w ustach niczym kawałek wysuszonej na wiór, w dodatku chropowatej skóry. Dla uniknięcia kolejnych nie nazbyt miłych niespodzianek starając się trzymać głowę nieruchomo, zerknąłem tu i tam mętnym jeszcze okiem. Białe łóżko, w nogach charakterystyczna, prostokątna tabliczka, pod samą ścianą, niedaleko okna, stojak z zestawem do kroplówki... Słowem, szpitalna izolatka! Tylko ściany w kolorowy, figlarny wzorek jakoś mi do tego wszystkiego niezbyt pasowały. A nadto ów wzorek sprawiał wrażenie czegoś niezwykle swojskiego, coś mi niewątpliwie przypominał. Tylko co, u diabła?!

Ściągnąłem brwi, wyężając pomięć, lecz jedynym tego efektem było nasilenie się łomotu krwi w skroniach. Przed oczyma zapląsały mi ostrzegawczo gwiazdeczki, rozwirowały

się jakieś rozległe, wielobarwne kręgi. Z żołądkiem kurczącym się i rozprężającym niesympatycznie zda się blisko przełyku zatrzymałem się gdzieś na progu omdlenia czy może nawet odrobinkę go przekroczyłem. Nie ma co, dobre mi „wszystko w porządku”! A na dobitkę ta cholerna kroplówka... Zestaw z całą pewnością był całkiem niedawno w użyciu, to mógł stwierdzić nawet taki laik jak ja. A kroplówki, jak wiadomo, na ogół nie aplikuje się przecież pacjentowi li tylko dla poprawienia mu humoru!

Kiedy znów wróciła mi ostrość widzenia, stwierdziłem z niejakim zdziwieniem, że w pomieszczeniu jest o jedną osobę więcej aniżeli poprzednio. Dość tęgi, lekko szpakowaty, z całą pewnością nieznamy mi mężczyzna. Chyba mnie rzeczywiście musiało lekko zamroczyć, skoro uszło mej uwagi jego wejście. Krzątał się dość żwawo przy mnie ze sporą strzykawką w dłoni, z ani trochę mi się nie podobającym wyrazem twarzy. Czujny, napięty, jakby tylko czekał na chwilę mej nieuwagi.

Natomiast co do Raya, to ten tkwił nadal w tym samym co poprzednio miejscu, w nogach łóżka, jakby się stamtąd w ogóle nigdy nie ruszał. Tyle tylko, że obecnie, wsparty pierśią o metalową poręcz, pochylał się głęboko ku mnie. Niewykluczone, że była to tylko gra wyobraźni, lecz odniosłem wrażenie, iż w jego oczach maluje się nie tyle troska, co zachłanna ciekawość wymieszana z czymś w rodzaju niepokoju, może nawet trwogi.

Chcąc coś powiedzieć, z pewnym trudem przełknąłem blokującą mi przełyk ślinę, lecz w tym momencie z tyłu, zza

mojej głowy, wynurzył się ów mężczyzna kojarzący mi się z czymś w rodzaju lekarza. Nim zorientowałem się o co chodzi, chwycił mnie zdecydowanie, całą garścią za nadgarstek i lekko się zamachnąwszy wbił mi w ramię żądło strzykawki. Zaaplikowany mi w tak brutalny sposób środek musiał być niezwykle mocny, film urwał mi się bowiem nagle, niczym ręką uciał.

Kiedy się ponownie ocknąłem, za oknem stał już dzień.

Przez jakiś czas gapiłem się bezmyślnie na nieruchome, jakby pogrążone w kamiennym śnie, rachitycznie powyginane konary drzew. Po obolałej głowie snuła mi się leniwie jakaś myśl, której jednak dość długo ani rusz nie mogłem uchwycić, zmusić ją do przybrania w miarę czytelnej formy. Nagle jakby mnie olśniło – uprzytomniłem sobie, co mi przypomina ów sympatyczny wzorek na ścianie. Przecież taki sam wzorek był na tapecie wyścielającej ściany naszej fotograficznej pracowni!

Mógł to być naturalnie zwykły zbieg okoliczności, podobieństwo najzupełniej przypadkowe – wszak te tapety to była produkcja fabryczna, wielkoseryjna, więc zapewne pokrywała tysiące metrów kwadratowych ścian najrozmaitszych pomieszczeń – coś mi jednak podpowiadało, że jest inaczej. Lecz jak to sprawdzić? Dłuższą chwilę medytowałem z oczami wbitymi w sufit, wreszcie wydało mi się, iż znalazłem właściwy sposób.

Pomny niedawnych cierpień, uniosłem głowę z poduszki z taką ostrożnością, jak gdyby chodziło tu o nadpęknięte jajo. Po bólu nie zostało już jednak na szczęście ani śladu – widać

pierzchnął wraz z nocą. Poruszyłem nogami i rękami i od razu zrobiło mi się o wiele weselej na duszy: wyglądało na to, że członki moje zachowały pełną sprawność! Kiedy zgarnąłem z siebie koc, skonstatowałem z niemałym zdumieniem, że jestem wystrojony jedynie w kuse bokserki i w jasnoniebiską, z całą pewnością nie mającą wcześniej ze mną nic wspólnego, bo o wiele za obszerną gimnastyczną koszulkę. A więc cokolwiek mi się przydarzyło, musiało się to stać nagle. Tak nagle, że nawet nie zdążono zabezpieczyć dla mnie troszeczkę bardziej stosownego do wylegiwania się w łóżku stroju. Nadto był to argument świadczący przeciwko wersji szpitalnej – wszak w tego rodzaju instytucjach nie powinno być z tym przecież większych kłopotów!

Wyprawilem bose stopy pod łóżko na przeszpiegi, lecz pomimo starań nie udało mi się odnaleźć żadnych pantofli. Kolejny punkt ujemny dla tych, którzy mnie tutaj wbrew mej woli gościli! Chcąc nie chcąc trzeba było zatem wejść w bliższy kontakt z posadzką. Jej przenikliwy chłód uległ w moim ciele transformacji na długi, nieprzyjemny dreszcz. Chwilę rozpaczliwie walczyłem z przemożnym pragnieniem ponownego zakutania się w wabiące miłym ciepłkiem i miękkością koce, ucieczki w sen od tchnącej w jakiś bliżej nieokreślony sposób niepokojem atmosfery tego pomieszczenia, lecz w końcu udało mi się przemóc te ciągoty i kuląc stopy, by z posadzką stykać się jak najmniejszą ich powierzchnią, pokuśtykałem do ściany. Pochyliłem się.

A więc tak, to rzeczywiście była jednak nasza pracownia! Nieregularna, wypalona kwasem parę dni temu przez nieuwagę dziura, za którą tak mi się dostało od Raya, nie pozo-

stawiała co do tego najmniejszych wątpliwości! Tyle tylko, że zmienił się gruntownie jej wystrój.

Uśmiechnąłem się. Mówiąc ściślej, zamierzałem to uczynić, lecz bardzo wątpię, czy komukolwiek obserwującemu mnie w tym momencie z boku w ogóle by wpadło do głowy poczytać ów grymas za uśmiech. Dobrze mi „tyle tylko”! Wszak pracownia, a zwłaszcza jej wyposażenie w tym, co tutaj ostatnimi czasy usiłowaliśmy uporczywie wysmażyć, odgrywała ogromną, jeśli nie wręcz kluczową rolę, więc zrezygnowanie z niego, skrupulatne jego uprzątnięcie dawało wiele do myślenia. A w dodatku wszystko wskazywało na to, iż zmiany owe są ściśle związane właśnie z moją skromną osobą!

Nie dane mi jednak było zbyt długo kontemplować tego faktu, gdyż raptem posłyszałem zbliżające się gdzieś za drzwiami kroki. Doprawdy nie mam pojęcia, co mną powodowało; dość że niemal jednym susem przyskoczyłem do łóżka, wyciągnąłem się na nim jak długi i podciągnąłem koc aż po brodę.

Zgrzytnął klucz w zamku. A więc przez cały ten czas byłem zamknięty! Jeśli mam być zupełnie szczery, odkrycie to jakoś nie wzbudziło we mnie nadmiernego zachwytu. Poprzez firankę rżęs z pewnym niepokojem obserwowałem wolne, jakby niezdecydowane uginanie się klamki, potem – takież uchylanie się drzwi. Ray stał w progu parę sekund, gapiąc się na mnie z owym dziwnym, znanym mi już z jego poprzedniej wizyty wyrazem twarzy, w którym ciekawość zdawała się walczyć o lepsze z czymś w rodzaju lęku, po czym – doszedł-

szy pewnie do przekonania, że jestem jeszcze w najlepsze pograżony w objęciach Morfeusza – postąpił krok do przodu, zamknął za sobą cichutko drzwi i zaczął się zbliżać do mnie miękko, skradającym się krokiem.

– Czym ci, mój drogi, mogę służyć? – rzuciłem niegłośno, otwierając oczy.

Mój manewr odniósł zamierzony efekt: Ray dosłownie wrósł w podłogę tak jak stał, w niewielkim rozkroku; zdawało się, że z jego ściętej zaskoczeniem twarzy spłynęła wszystka krew. Najwyraźniej nie mógł wykrztusić z siebie ni słowa. Od kiedyż to on, u diabła, zrobił się tak strachliwy?!

Przez dobre parę sekund niczym nieprzebyta zaporą rozdzielająca nas ciężka, jakby nierealna cisza.

– No? – przynagliłem go wreszcie z dobrotliwym uśmiechem, dość sprawnie windując się do pozycji siedzącej..

Nerwowo wessał w siebie sporą porcję powietrza.

– Chciałem się... tylko zorientować, czy ci tu nie potrzeba czegoś.

– Wielce zobowiązany za troskę! – powiedziałem głosem obficie przyprawionym ironią, lecz nie przypuszczam, żeby w ogóle ją wyczuł. Odchyliwszy koc bezwstydnie zademonstrowałem swój nader skromny przydzwiewek. – Byłbym wielce rad, gdybyś przyniósł mi moje spodnie. I resztę ekwipunku.

Zamrugnął szybko oczami.

– Po... co?

Okazuje się, że z człowiekiem można zjeść beczkę soli,

a i tak się nie rozezna, co w nim naprawdę siedzi! W każdym razie nigdy bym wcześniej nie przypuszczał, że może być zdolny do zadania tak beznadziejnie głupiego pytania. Pokiwałem głową z prawdziwym politowaniem.

– Taka moda – wyjaśniłem sucho. – Nie mogę jej zmieniać nazbyt gwałtownie, bo mógłbym przyprawić publiczność, a zwłaszcza piękniejszą jej połowę o szok. No a ponadto jak myślisz, jak by zareagował pierwszy z brzegu policjant, gdybym wyszedł na ulicę w slipkach?

W jego twarzy raptem zaszła jakaś zmiana. Rychło zrozumiałem, o co chodzi: po prostu zdołał się wziąć wreszcie w garść.

– Na razie możesz tym sobie zupełnie nie zaprzątać głowy – powiedział z istic lodowatą uprzejmością. – Przyjdzie ci poleżeć tu jeszcze troszeczkę.

– Doprawdy?! – rzuciłem niedowierzająco, spoglądając ostentacyjnie w kierunku drzwi. Nie poruszyłem się jednak, bardzo mi bowiem zależało na wyjaśnieniu paru nie dających mi spokoju szczegółów.

Upływały sekundy; milczeliśmy, mierząc się badawczymi spojrzzeniami, niczym wytrawni zapaśnicy szykujący się do założenia na kark przeciwnika optymalnego chwytu.

- Czas porozmawiać – bąknął.
- Najwyższy! – przyznałem.
- Chciałbym ci zadać kilka pytań.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu, który jednak miał niewiele wspólnego z wesołością.